

Zbrodnia i mit

1 sierpnia 2020

„Powstanie w ogóle nie tylko nie miało żadnego sensu, ale było nawet zbrodnią” – gen. Władysław Anders.

Burza w szklance wody

W ciepły sobotni wieczór, 29 lipca 1944 r., doszło w Warszawie do niecodziennego spotkania. Gen. Tadeusz Bór-Komorowski zobaczył się z przybyłym z Londynu emisariuszem Rządu Polskiego, Zdzisławem Jeziorańskim ps. „Jan Nowak”. „Kurier z Warszawy” uzmysłowił wówczas Komendantowi Głównemu AK sytuację geopolityczną, jaka zarysowała się po konferencji w Teheranie, tj. podział stref wpływów i *carte blanche* dla Stalina w Europie Wschodniej. Przedstawił także twarde fakty, iż na żadną pomoc ze strony aliantów w razie „bitwy o Warszawę” liczyć nie będzie można. Pomoc Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego także była wykluczona. Wypowiedział wówczas także znamienne słowa: akcja „Burza” nie będzie miała żadnego wpływu na decyzję aliantów, a dla opinii publicznej świata zachodniego będzie burzą w szklance wody.

Dzień wcześniej wizytę gen. Bór-Komorowskiemu złożyło dwóch wysokich rangą oficerów: płk Emil Fieldorf-Nil i ppłk Ludwik Muzyczka, którzy na piśmie złożyli swój sprzeciw wobec wszczynania powstania w stolicy. Swoją postawę argumentowali czynnikami zewnętrznymi – niechęcią przywódcy ZSRR i dowództwa Armii Czerwonej do jakiegokolwiek pomocy AK – oraz wewnętrznymi – słabości kadrowe, organizacyjne, braki w uzbrojeniu i sprzęcie wojskowym.

Wszyscy politycy i oficerowie Armii Krajowej, którzy podjęli decyzję o wybuchu powstania, mieli pełną świadomość, jak skończyła się akcja „Burza” na Kresach. Wiedzieli, co się stało z żołnierzami, którzy zajęli Wilno czy Lwów i

zdekonspirowali się przed Armią Czerwoną.

29 i 30 lipca 1944 r. Radio Moskwa i Radiostacja im. T. Kościuszki (polscy komuniści) nadawały prowokacyjne audycje z apelem o rozpoczęcie walk w stolicy...

Naczelnny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski 3 lipca 1944 r. pisał: powstanie bez uprzedniego porozumienia z ZSRR na godziwych podstawach byłoby politycznie nieusprawiedliwione, zaś bez uczciwego i prawdziwego współdziałania z Armią Czerwoną byłoby pod względem wojskowym niczym innym jak aktem rozpaczny.

W obliczu powyższych faktów, wszelka próba usprawiedliwiania (argumentem niewiedzy o sytuacji zewnętrznej) sprawców wybuchu powstania, takich jak generałowie: Kazimierz Sosnkowski, Tadeusz Bór-Komorowski, Leopold Okulicki, Antoni Chruściel, Tadeusz Pełczyński, czy Delegat Rządu na Kraj Jan Stanisław Jankowski, jest albo przejawem ignorancji, albo po prostu złej woli.

Bez happy endu

Osobna sprawa, która schodzi nieco w cień przy omawianiu zasadności decyzji o wybuchu powstania, to pytanie, dlaczego nie przerwano tej rzezi? W kilka dni po rozpoczęciu walk – w obliczu braku jakiegokolwiek pomocy – było już wiadomo, że powstanie nie ma najmniejszych szans powodzenia. Komenda Główna AK miała już także świadomość, że na pomoc Armii Czerwonej nie ma co liczyć. Wykrwawienie polskich oddziałów było po prostu na rękę Stalinowi. Walka z punktu widzenia wojskowego i z punktu widzenia politycznego stała się całkowicie bezzasadna. Stała się irracjonalna.

Na jedyną rozsądną decyzję potrafił się zdobyć – niesłusznie nieco zapomniany dziś – płk Antoni Żurowski, dowodzący walkami na Pradze. W szóstym dniu powstania, w sytuacji braku broni, amunicji, widząc niepotrzebne cierpienie ludności cywilnej,

podpisał akt kapitulacji. I dzięki temu zaoszczędził życie tysiącom ludzi i uchronił Pragę od wielkich zniszczeń.

Zamiast iść w ślady praskiego dowództwa i skończyć niepotrzebną rzeź cywilów, 12 sierpnia 1944 r. gen. Bór-Komorowski podpisał rozkaz przyjścia stolicy z pomocą, skierowany do oddziałów spoza Warszawy. Wydał tym samym wyrok na swoich żołnierzy. Ani jeden oddział AK nie dotarł do stolicy, za to doprowadził tysiące ludzi do dekonspiracji przed NKWD.

Ponad 200 000 ofiar w ciągu 63 dni. Więcej niż we wszystkich polskich powstaniach od 1794 do 1863 r. Więcej niż ofiar bomby atomowej, zrzuconej na Hiroszimę. Dziennie więcej niż ofiar ataku na World Trade Center...

Świętowanie klęski

Od kilkunastu lat mamy w naszym kraju do czynienia ze swoistym, arefleksyjnym kultem powstania warszawskiego. Co gorsza, kultem zinstytucjonalizowanym. Miejsce należynej zadumy i głębokiej refleksji, także – a może przede wszystkim – politycznej, zastępuje emocjonalno-sentymentalna propaganda. Wśród haseł – „oceny zostawmy historykom” – królują komercyjne wykwyty tandetnej kultury masowej w postaci „powstańczych gadżetów”. Czasem można odnieść wrażenie, że te wszystkie koszulki, kubki, breloczki, przypinki, sprzedawane w akompaniamencie hip-hopowych melorecytacji, nie stanowią tylko mass-kulturowego dopełnienia każdej rocznicy, ale z łatwością stają się tanim substytutem poważanej debaty. Swoją drogą, warto zadać pytanie, czy rocznice naszych narodowych klęsk powinniśmy świętować tak hucznie i uroczyście, czy raczej cicho i refleksyjnie?

Nikt nie odmawia powstańcom bohaterstwa. To sprawa oczywista. Nie chodzi jednak o ocenę skali poświęcenia powstańców, lecz o głęboką ocenę decyzji politycznej, jaką podjęli politycy i dowódcy AK. Każdy naród ma nie tylko prawo, ale i obowiązek

wyciągać wnioski z nietrafionych decyzji i poniesionych klęsk. Prawo to jednak w sposób rażący jest naruszane we współczesnej Polsce. Mamy oto bowiem do czynienia z sytuacją, kiedy część środowisk politycznych i intelektualnych chce nie tylko zawłaszczyć sobie pamięć o tamtych wydarzeniach, ale także narzucić „moralny” kaganiec myślącym inaczej. Każdemu, kto próbuje w przestrzeni publicznej rozpocząć debatę nt. politycznego sensu tej insurekcji, natychmiast zarzuca się, iż „godzi w pamięć o powstaniu”, czy wręcz „podważa sens heroicznego zrywu”.

Warto pamiętać, że wśród krytyków decyzji politycznej, jaka legła u genezy powstania, byli i są sami uczestnicy tamtych walk. By wymienić tylko Jana Ciechanowskiego, Janusza Kazimierza Zawodnego, czy Jana Kurdwanowskiego, walczących piórem o sprawiedliwą ocenę tamtych wydarzeń. Jak się ma próba knebłowania ust przeciwnikom powstania, przy pomocy argumentu o „powtarzaniu propagandy PRL-u”, wobec twórczości takich postaci jak Władysław Pobóg-Malinowski, Jerzy Łojek, czy Paweł Wieczorkiewicz?

W stronę mitu

Osobna sprawa to próba tworzenia przez niektóre kręgi intelektualne obrazu „powstania zwycięskiego”. „I to nie tylko moralnie, ale materialnie i politycznie” – jak napisał jeden z czołowych mitotwórców tej insurekcji. Zabieg to niebezpieczny, uciekający od świata realnego, w miejsce faktów stawiający symulakry. Pokrętna filozoficzna argumentacja, odwoływanie się do zbiorowych emocji, granie na narodowych nastrojach stopniowo zaciera granicę między światem rzeczywistym, a jego przedstawieniami. Wyobrażenie i mit stają się bytem realnym. W tym momencie bezzasadna staje się jakakolwiek rzetelna debata. Mitologizacja zbiorowej pamięci, jaka dokonuje się na naszych oczach, zastępuje potrzebę narodowej refleksji nad własną przeszłością, która jest niezbędna dla podejmowania właściwych decyzji w przyszłości. Mit staje się blokadą nie tylko w

odniesieniu do przyszłości, ale i przestaje pozwalać na czerpanie z bogactwa przeszłości. A przecież chodzi o to, aby zakończonej tradycji dać ostatnie słowo i zachować klucze do spalonych domów, parafrazując Reinholda Schneidera.

Na koniec trudno także nie poruszyć kwestii swoistego dyktatu ortograficznego, jaki rozprzestrzenił się w większości mediów. Nazwa insurekcji warszawskiej musi być pisana obowiązkowo majuskułą. Koniec kropka. Inaczej to „obraza pamięci”. A przecież zasady języka polskiego są w tej sprawie jasne. Nazwy powstań piszemy z małej litery. W wyjątkowych sytuacjach, chcąc nadać formie pisanej szczególny patos, można je pisać literą wielką. Problem w tym, że w Polsce patos staje się wszechobecny...

Sens dyskusji

Dyskusja o sensie powstania warszawskiego jest potrzebna. Dyskusja rzetelna. Odrzucająca łatwy sentymentalizm i fałszywy ultramoralizm. Tylko taka postawa, która dąży do rzetelnej oceny powstania, w tym sensu jego wybuchu, może stać się prawdziwym kluczem do prowadzenia polityki realnej. W przeciwnym razie dostaniemy do ręki co najwyżej wytrych i nie do polityki realnej, a co najwyżej polityki życzeniowej.

Autorstwo: dr Leszek Sykułski

Źródło: Geopolityka.net